

Władysław Stefanoff

Fragment pamiętnika  
(lata 1939-1945)

Siedlce 2003 r

Były to burzliwe czasy. Na miesiąc przed wybuchem wojny powróciłem z Francji do kraju, żeby bronić ojczyznę przed agresją niemiecką. Byłem wtedy studentem Głównej Szkoły Handlowej w Warszawie. Roczny pobyt we Francji był mi potrzebny do opanowania języka francuskiego.

W pierwszych dniach wojny zbombardowane zostały Siedlce. Wiele domów zostało zniszczonych, między innymi i ten, w którym mieszkaliśmy. Moja matka została zaproszona do domu swojej pacjentki, pani Franciszki Ciokowej, młodej wdowy, właścicielki dużego sklepu rolniczego. Sprzedawano tam głównie artykuły żelazne na potrzeby wsi : brony, pługi, koparki do kartofli, lemiesz, kosy, sierpy, osie do wozów, grabie, łopaty, klucze francuskie itp. Ja pojechałem do mojego wuja Kazimierza Zieleniewskiego, do Zabuża nad Bugiem.

Zabuże to osiedle powstałe w wyniku parcelacji majątku jakiegoś generała rosyjskiego po uzyskaniu przez Polskę niepodległości. Poprzednio majątek ten należał do szlachcica polskiego, który po powstaniu styczniowym został wywieziony wraz z rodziną na Sybir. Marszałek Józef Piłsudski rozdzielił wszystkie majoraty rosyjskie między swoich legionistów. Z majątku Zabuże powstało kilkanaście gospodarstw ośmiohektarowych. Pałac właściciela stał się siedzibą nadleśnictwa. Gospodarstwo wuja położone było nad samym Bugiem w sąsiedztwie nadleśnictwa, naprzeciwko miasteczka Mielnik. Okolica przepiękna, nie skażona cywilizacją. Licha ziemia z trudem utrzymywała rodzinę wuja : żonę, trzech chłopców i siostrę. Ta ostatnia, działaczka POW, Irena Zieleniewska, założyła w sąsiedniej wiosce, w Klepaczewie, pensjonat dla letników. Dawała sobie z tym radę, ale zaniedbana wieś nie była najlepszym miejscem na letnisko. Przy pomocy finansowej mojej matki, pensjonat został przeniesiony do Zabuża. Wybudowano trzy nowe domy i zaczęto przyjmować letników, głównie z Warszawy i Siedlec.

Wybuch wojny wypłoszył wszystkich letników. Zostało nas tylko dwóch : Tolek Barski i ja. Tolek był podporucznikiem rezerwy, a ja studentem. Kiedy siedzieliśmy rozmawiając o tragedii naszego kraju, do pokoju wszedł

sympatyczny kurdupel w randze radzieckiego porucznika. Powiedział, że jesteśmy aresztowani i że zostaniemy wywiezieni do Kraju Rad. Przy okazji zwrócił nam uwagę, że to nie kulturno rzucać łupinki z pestek od dyni na podłogę. Postawił przy drzwiach wartownika z karabinem.

Mój wuj znał doskonale język rosyjski. Zrobił to, co zrobić powinien. Zaprosił lejtenanda i wartownika na poczęstunek. Podał im wędzoną szynkę, razowy chleb, cebulę, kiszzone ogórki i wódkę wyborową. Jak już sobie dobrze podpili, wuj wytłumaczył porucznikowi, że jesteśmy zwykłymi letnikami, studentami, a nie oficerami. Nie czekając na wynik tej popijawy, widząc, że nie ma wartownika przy drzwiach, wyszliśmy pośpiesznie z domu i przez stawy zabużańskie dostaliśmy się na Trojan i do Mierzwic. Stamtąd dalej piechotą do Sarnak, Łosic i Siedlec. W Siedlcach pożegnaliśmy się. Tolek pojechał do swojego domu w Warszawie, a ja zostałem w Siedlcach.

W tym samym czasie mój brat Stefan Stefanoff, inżynier, podporucznik rezerwy, razem z innymi oficerami ze swego oddziału został internowany w Starobielsku. Także mojego wuja Jana Żebrowskiego, radnego z Siedlec, aresztowano i wywieziono do Kozielska. Obaj zostali zamordowani przez „sojuszników” strzałami w tył głowy.

Franka Ciokowa obdarowała mnie płomiennym uczuciem, któremu trudno było się oprzeć. Zgodziłem się nawet na pracę w jej sklepie. Tłok w sklepie był niesamowity. Wieśniacy lokowali niepewne pieniądze w sprzęt. Władzom niemieckim zależało na produkcji rolnej Generalnej Guberni, dlatego pozwalali France zaopatrywać się w towar nawet na terenie Rzeszy. Mogła wyjeżdżać do Katowic, Poznania, a nawet do Berlina po towar. W tym okresie moimi jedynymi rozrywkami były flirty z Franką i brydż w klubie pani Mucharskiej przy ul. Sienkiewicza. Czasami jeździłem do Warszawy na zakupy w Old England. Franka była wspaniałą, zadbaną, energiczną niewiastą, ale miała jedną drobną wadę - była nienasycona. Taki styl uprawiania miłości był dla mnie bardzo wyczerpujący, toteż na początku lata wyjechałem do Zabuża, ażeby

odpocząć i nabrać sił.

W Zabuzu spotkałem mojego przyjaciela Zbyszka Karpińskiego, syna byłego nadleśniczego i mojego brata ciotecznego, Tadeusza Zieleniewskiego. Obaj pracowali jako robotnicy leśni przy żywicowaniu starych sosen przeznaczonych na ścięcie. Dołączyłem do nich. Było to zajęcie bardzo zdrowe i co ważniejsze zabezpieczało przed łapanką i wywiezieniem na przymusowe roboty do Niemiec. Z żywicy sosen otrzymywano kalafonię potrzebną Niemcom do celów przemysłowych. Oprócz nas tę samą robotę wykonywało kilku studentów z Białej Podlaskiej. Mieszkali w jednym z domów letniskowych moich krewnych i sami przyrządzali sobie posiłki. Każdy z nas dostał z nadleśnictwa odpowiednie narzędzie do nacinania kory drzew, kubki papierowe i beczkę do gromadzenia żywicy. Praca nienormowana w czasie bardzo nam odpowiadała. Przy okazji zbieraliśmy także grzyby, przeznaczając je do suszenia na słońcu i na blatach kuchennych.

Żywicowanie było robotą sezonową, więc późną jesienią powróciłem do Siedlec. Moja matka w międzyczasie przeprowadziła się do obszernego apartamentu doktora Mieczysława Piotrowskiego, zacnego dyrektora Szpitala Miejskiego w Siedlcach. Jego rodzina zajmowała trzy pokoje, a moja matka dwa. Nie mając konkretnego zajęcia, zająłem się intensywną nauką języka angielskiego.

Podczas jednego z wyjazdów do Warszawy dowiedziałem się o istnieniu Szkoły Zaorskiego, zakamuflowanej Akademii Medycznej mieszczącej się na terenie i w budynkach Uniwersytetu Warszawskiego.

Wyższe studia były w Guberni Generalnej zakazane, ale docent Zaorski potrafił te zakazy ominąć. Zmobilizował przedwojennych profesorów do pracy w szkole mającej oficjalnie przygotowywać personel pielęgniarski. Po krótkim namyśle pojechałem do Warszawy, ażeby zapisać się do tej szkoły i żeby poszukać sobie mieszkania.

W wyborze mieszkania byłem prawdziwym pechowcem. Najpierw

zamieszkałem u pani Reichman na Sadybie. Nieduża ładna willa, pozorny spokój dogodny do studiowania. Niestety, był to ośrodek, w którym zbierali się młodzi ludzie z AK wykonujący zamachy na Niemców. Wtedy nie dojrzałem jeszcze do takich akcji, więc kiedy zobaczyłem uzbrojonych młodzieńców wskakujących przez okno do willi, wołałem się przeprowadzić. Następny wynajmowany pokój na ul. Belwederskiej także mi nie odpowiadał. Mieszkanie było własnością folksdojczki, która podczas mojej nieobecności grzebała w moich rzeczach. Po dwóch miesiącach wyprowadziłem się. Takie towarzystwo nie było w moim guście. Następne mieszkanie przy placu Unii Lubelskiej było bardzo hałaśliwe. Tramwaje na rondzie przeraźliwie skrzypiały i zgrzytały. Ale nie to było najgorsze. Właścicielką mieszkania była nobliwa żona lekarza wojskowego pracującego w Szpitalu Ujazdowskim. Pułkownik Łada przebywał w tym czasie w niemieckim oflagu. Po zamachu na Kuczerę, do mieszkania przyszli nocą gestapowcy. Mieszkałem razem z Tadzikiem Zieleniewskim, także studentem Szkoły Zaorskiego. Przy drzwiach naszego pokoju stanął gestapowiec, nie pozwalając z niego wyjść. Oficer przez całą noc przesłuchiwał w salonie właścicielkę mieszkania. Przyznała się do wszystkiego, nawet do tego, że jej syn należał do AK, ale że od roku nie mieszkał u niej. Powiedziała także, że jesteśmy sublokatorami nie znającymi nawet jej syna. O godzinie 8 rano poprosiłem wartownika o pozwolenie porozmawiania z oficerem. Łamaną niemczyzną z dziecinną naiwnością powiedziałem oficerowi, że musimy już iść do szkoły, żeby nas puścił. Po obejrzeniu mojej kenkarty i legitymacji szkolnej pozwolił nam wyjść z domu. Trafiłem widocznie na kulturalnego człowieka, któremu podobało się moje poczucie obowiązku. Mogłem też trafić na takiego, który posłałby nas na Pawiak.

Nigdy w życiu nie widziałem u młodzieży takiego zapału do nauki jak u zaorszczaków. Nie myślano o przyjemnościach, lecz o zdobywaniu wiedzy. Nikt nie chodził do kina, bo „w kinie siedzą tylko świnie”. Propagandowe filmy nikogo nie interesowały, a wiadomości o działaniach wojennych na froncie były

notorycznie zafalszowywane.

W czasie okupacji docent Jan Zaorski, dyrektor Szpitala Elżbietanek, wpadł na pomysł uruchomienia tajnego Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Zrobił to pod pozorem prowadzenia dwuletniej Szkoły Zawodowej dla Personelu Sanitarnego -na co Niemcy wyrazili zgodę. Udało mu się zlokalizować tę szkołę w budynkach uniwersyteckich i pozyskać na nauczycieli dawnych profesorów, m.in. fizjologa Franciszka Czubalskiego, dawnego rektora i dziekana, który został mianowany dyrektorem naukowym szkoły. Słuchaliśmy wykładów słynnego anatoma, prof. Edwarda Lotha. Jego pouczające i błyskotliwe anegdoty czyniły z nudnej nauki anatomii wspaniałe widowisko teatralne. Jednym z wykładowców był anatom prof. Różycki z Poznania. Utrzymywał się głównie z prywatnej praktyki lekarskiej, ale cenił sobie bardziej pracę z młodzieżą. Docent Kapuściński, wspaniały pedagog, wykladał nam fizykę. Uczyliśmy się także biologii, histologii, chemii organicznej i nieorganicznej. Laboratoria szkolne były dobrze wyposażone, a zapał do nauki zupełnie nie spotykany w czasach międzywojennych. Młodzież poświęcała się nauce bez reszty. O traceniu czasu na rozrywki nie było nawet mowy.

Zakonspirowany wydział lekarski funkcjonował bezbłędnie. Chodziło głównie o to, ażeby wszystkie przedmioty teoretyczne przerobić i zaliczyć w ramach legalnego nauczania, bez narażania wykładowców i studentów na represje ze strony Niemców. Potem musieliśmy przejść do działań bardziej ryzykownych, do przerabiania przedmiotów klinicznych bez oficjalnego patronatu szkoły. Uczniowie w małych grupach byli przydzielani na praktykę do szpitali. I tak chirurgii uczyliśmy się w Szpitalu Dzieciątka Jezus pod czujnym okiem doc. Rutkowskiego i dra Stefańskiego, pediatrii w Szpitalu Dziecięcym na placu Kopernika, interny u profesorów Góreckiego i Orłowskiego. Ten ostatni był postrachem moich kolegów. Bardzo wymagający, ale i sprawiedliwy, znał świetnie swoją specjalność i zaliczając u niego egzamin

można było być pewnym, że poznało się internę. Czasami tylko, jeżeli prof. Orłowski dostrzegał u kogoś brak samodzielnego myślenia, prosił delikwenta, ażeby został lekarzem sportowym lub okrętowym, a nie ważył się leczyć chorych. Był to dowcip często powtarzany przez studentów; dzisiaj nie jest już aktualny, ponieważ i w tych specjalnościach wymagania są duże. Anatomii patologicznej uczył nas znakomity prof. Paszkiewicz, a farmakologii prof. Modrakowski. Modrakowski nie od razu zgodził się na prowadzenie wykładów. Wymawiał się podeszłym wiekiem ( miał 82 lata ), niedołęstwem itp. Kiedy w tym czasie urodził mu się kolejny synek, nie wypadało mu już wykręcać się starością i podjął się nauczania na tajnych kompletach. Któregoś dnia zapytałem go, jak mam skorygować swoje niskie ciśnienie tętnicze ? Zaśmiał się tylko i wskazał palcem na siebie. - Niskie ciśnienie jest najlepszym gwarantem długowieczności - powiedział.

Tak się złożyło, że koledzy delegowali zawsze mnie jako pośrednika omawiającego sprawę wykładów z profesorami. Zbierałem pieniądze, odwiedzałem upatrzoną wykładowcę i przekonywałem go, iż nie istnieje żadne niebezpieczeństwo, że Niemcy mają teraz pilniejsze kłopoty na głowie niż interesowanie się tajnym nauczaniem. Jednak nie wszyscy dawali się przekonać. Prof. Wiktor Grzywo - Dąbrowski powiedział nam, że nim zdamy wszystkie egzaminy, będzie już po wojnie, a medycynę sądową zalicza się na samym końcu. No cóż, może miał i rację. Jak tylko otwarto oficjalnie Uniwersytet Warszawski, zgłosił się natychmiast do pracy w Akademii Medycznej i uruchomił na Pradze nowy Zakład Medycyny Sądowej.

Tymczasem wybuchło powstanie warszawskie. Większość z nas należała już do różnych organizacji podziemnych, głównie do AK, toteż pospiesziliśmy na wyznaczone pozycje bojowe. Moimi towarzyszami byli Faryna i Bogusławski. Po wielu perypetiach, których nie będę tutaj opisywał, znalazłem się w obozie pruszkowskim, potem jako ranny w Szpitalu Dzieciątka Jezus w Milanówku, następnie w Starachowicach u mojej bratowej, a w końcu w

Siedlcach. Byłem pierwszym, który przybył do Siedlec z tamtej strony Wisły, z powstania. Musiałem opowiadać szczegółowo o przebiegu walk w Warszawie, pokazywać swoje rany itp.

Po kilku tygodniach dowiedziałem się, że na Pradze funkcjonuje już uniwersytet. Nieliczni studenci byli zakwaterowani w szpitalu koło placu Szembeka. Każdy student musiał starać się o wyżywienie na własną rękę. Szpitalne zupki nie były wystarczające. Wszyscy spali w jednej dużej sali, dziewczęta po prawej stronie, chłopcy po lewej. Panował tam wspaniały nastrój, na niewygodę nikt nie narzekał. Mieliśmy nawet czas na organizowanie imprez rozrywkowych, na których Pestka Kenig była gwiazdą pierwszej wielkości. Jej andaluzyjskie piosenki zachwycały profesorów i studentów. Wykłady były jeszcze nieco chaotyczne; rozdzielono nas grupami do kilku praskich szpitali. Profesorów trochę nam ubyło, ale przybywali inni, na przykład znakomity neurochirurg ze Lwowa, prof. Domaszewicz, którego córki, bliźniaczki, studiowały razem z nami. Przybył także wyżej wspomniany prof. Wiktor Grzywo - Dąbrowski, dawny dziekan Uniwersytetu Warszawskiego. Jeszcze nie zdążyłem otrzymać dyplomu, a już zaangażował mnie jako swojego asystenta do Zakładu Medycyny Sądowej. Na szczęście nie pracowałem tam długo. Sekcje zwłok, orzeczenia dla sądów i tym podobne zajęcia nie były pracą, która odpowiadałaby moim aspiracjom. Już pierwszego dnia musiałem orzekać o przyczynie zgonu jedenastu żołnierzy radzieckich, którzy dobrali się do spirytusu metylowego zmagazynowanego w warszawskiej piwnicy. Dwunasty ocalał, ale został ślepcem na całe życie.

Budynki Uniwersytetu Warszawskiego nie zostały tak strasznie zniszczone jak reszta miasta. Zaczęliśmy przeprowadzać się z Pragi na Krakowskie Przedmieście. Nie wszyscy moi koledzy kontynuowali studia w Warszawie. Część wyjechała do Lublina, inni do Poznania. Byli i tacy, którzy skończyli studia w Edynburgu. Ja pojechałem do Poznania, gdzie udzielił nam gościny kolega Czesław Wojnerowicz. Zamieszkaliśmy u niego w czwórkę:



Kaczorowska ze swoim narzeczonym i ja z koleżanką. Także do Poznania przeprowadził się kolega Czarnecki. Tutaj cała nasza grupa ukończyła studia.

Mój rocznik ze Szkoły Zaorskiego liczył ośmiuset studentów. Dzisiaj zaorszczacy rozproszeni są po całym świecie. Niektórzy stali się sławnymi naukowcami. Mamy w kraju wielu uniwersyteckich profesorów, wychowanków szkoły Zaorskiego. Są nimi siedlczanie : Paweł Krakówka z Warszawskiego Instytutu Gruźlicy, Tadeusz Krzeski -ordynator Oddziału Urologii w Szpitalu Czerniakowskim i Lech Bardadin - laryngolog z Instytutu Reumatologii w Warszawie. Profesorem został kolega Czarnecki -laryngolog ze Szpitala MON w Warszawie, a także pediatra Irena Krzeska i wielu innych.

Pracując w Wenezueli, w dorzeczu Orinoko, spotkałem w San Fernando de Apure koleżankę Irenę Stosio. Radość nasza była tak wielka, jak gdybyśmy spotkali kogoś z bliskiej rodziny. Zaorszczacy to jedna wielka rodzina. Niedostatek i wspólne przeżycia wojenne łączyły nas bardziej niż zwykłe koleżeństwo w czasach pokoju.

Dur plamisty wywoływany jest przez zarazek Rickettsja prowazeki. Obaj uczeni, zarówno Amerykanin Howard Taylor Ricketts jak i Niemiec Stanislaus Prowazek, zmarli na dur plamisty podczas badań nad tymi niebezpiecznymi drobnoustrojami. W owym czasie nie istniała bowiem szczepionka przeciw tej chorobie. Dopiero w roku 1916 polski bakteriolog z Uniwersytetu Lwowskiego, Rudolf Weigl, opracował skuteczną szczepionkę przeciw durowi.

Tak się złożyło, że podczas okupacji niemieckiej miałem możliwość, wraz z kolegą Jerzym Albrychtem, przyjrzeć się produkcji tej szczepionki. Obaj studiowaliśmy medycynę w Szkole Zaorskiego. Częste łapanki na ulicach miasta groziły nam wywiezieniem na przymusowe roboty do Niemiec. Chcąc tego uniknąć, podjęliśmy pracę na pół etatu w Państwowym Zakładzie Higieny. Naszym szefem w dziale dezynfekcji, dezynsekcji i deratyzacji był wybitny uczony, dr Piotr Radło, pod którego kierownictwem prowadziliśmy różne

badania naukowe. Jednak wszystko, co działo się w zakładzie, bardzo nas interesowało, a najbardziej zadziwiająca, bezprecedensowa produkcja szczepionek przeciw durowi plamistemu na oddziale doc. Feliksa Przesmyckiego, znakomitego bakteriologa.

Niemcy panicznie bali się duru i robili wszystko, ażeby produkcja szczepionek była sprawna i wydajna. Jednym z ogniw tej produkcji byli karmiciele wszy, młodzi ochotnicy warszawscy, którzy trudnili się tym niezwykłym zajęciem. Robili to z wielu powodów: dzienna praca trwała tylko pół godziny, dawała dobry zarobek, całkowite zabezpieczenie przed wywózką do Niemiec, upoważniała do posiadania kartek żywnościowych i do otrzymania bezpłatnie tej drogiej szczepionki.

Karmiciele, w większości dziewczęta, o oznaczonej godzinie siadali w specjalnym pokoju, do którego laborantki doc. Przesmyckiego przynosiły małe, płaskie klateczki, zbudowane z drewna i cieniutkiej siateczki z drutu. W środku roiło się od insektów. Klateczki te przywiązywano do ud karmicieli na pół godziny. Po nakarmieniu wszy krwią dawców, klateczki odwiązywano i zanoszono na oddział. Tam, przy pomocy lewatywek wprowadzano drobnoustroje do jelit wszy. Po rozmnożeniu zarazków, robiono przecier z jelit insektów, z którego powstawała szczepionka, umieszczana następnie, po odpowiednich manipulacjach unieszkodliwiających zarazki, w ampułkach.

Ta przestarzała, pracochłonna metoda została zarzucona po odkryciu łatwiejszej metody hodowania zarazków na błonie omocniowej jaj kurzych. Nie zmienia to jednak faktu, że szczepionka Weigla uratowała życie wielu ludziom i utorowała drogę dalszym odkryciom.